ABC literacko-artystyczne

Stały dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Piaseckiego

Rok III. **Niedziela 26 sierpnia 1934 r.** **Nr. 35**

Zdzisław Broncel

Dom w słońcu



„Dom w słońcu"

W gorący, sierpniowy wieczór przypominam sobie odwiedziny u Gustawa Morcinka. Księżyc jest wielki jak nigdy. Nawet ciepły wiatr dziś nie wieje. Topola pod oknem stoi nieruchoma, ciemną, cyprysową kolumną dekoruje srebrzyste niebo — droga wyścielona jest wzorzystą, w pręgi ciemne i jasne, makatą, nad krajobrazem zaczarowanym, milczącym, jak zaklęty świat w bajce o szklanej górze, przechadza się księżyc. Wstępuje lekko w górę, przepływa nad białemi willami, zagląda w ogrody i zazdrosny jest o róże, które nie chcą rozkwitnąć pod jego światłem. Więc zmienia im kolory.

Róże białe stają się czyste jak lilje, różowe osypane zostały srebrnym puchem, czerwone zmieniają się w lśniącą, gładką czerń rzeźb z kamienia i z metalu. W zielonych ścianach żywopłotu dzikiego wina liście odwracają się i i bladą powierzchnią spodów patrzą w stronę blasku. Na kwiatowych rabatach dalje, zbudzone, rozrzucają rude i złote rozwichrzenia. Światło pociąga framugi okien śnieżnym lakierem. Dachy, ustawione z ceglastych tafelek, są bronzowe, koloru mosiądzu — nie, jaśniej — koloru jesiennych liści, i rosną coraz wyżej, podnoszą faliste grzbiety, obciążone małemi, śmiesznemi kominami, robią się coraz bardziej spiczaste, aż wreszcie toną w mgle migocącego nieba.

Z wysoka rzędy dachów wyglądają jak fale. Księżyc wydaje się przyciągać całe to morze domków. Jasne ich ściany maleją, giną w cieniach, przepadają, dachy gotują się do odlotu — płoszy je tylko odgłos kroków, wiąże je muzyka, jaka wylała się nagle z okna na facjatce i śpiewa dzwoniącym głosem.

Na niebie wyciągnęła się długa chmura. Sięgnęła dłonią po księżyc. Zabrała go. Czarne niebo ogarnęło wszystko. Jest ciemno.

I przypomniał mi się dom Morcinka... Podobny jest do tych, które dopiero co wykradał sobie księżyc. Wieczorem na tle dalekiego tła Beskidów musi wyglądać tak samo. Taksamo dalje w ogrodzie pienią się wzburzonemi kwiatami, taksamo jasno wznoszą się ściany, a dach „morcinkowskiej chałupy" jest tak wysoki i tak czerwony, że widać go zdaleka, podjeżdżając do Skoczowa.

Stoi ten młody dom, pisarska chudoba, na wzgórku. Garb pola podnosi się nad szosą, niedaleko od miasteczka. Z czystych, porządnych ulic, bo to Cieszyński Śląsk, maszeruje się drogą w południową stronę, mierzy się krokami pas szosy i ciągle, zaraz jak wyjść za miasto, widać jasny profil domu. Odciął się wyraźnie od reszty, poszedł swobodnie w pole, umieścił się tam, gdzie nic mu nie zasłoni blasku pełni księżyca i zdroju słonecznego południa. Gdzie nic nie mąci, nie przekreśla, nie przesłania widoku Beskidów.

Teraz, gdy zbliża się jesień, buki na beskidzkich stokach zrudzieją, będzie ku nim patrzał pan Morcinek, będzie się uśmiechał i ani wierzył własnym oczom, że coś podobnego może być na świecie. W sierpniowy wieczór, przy spadających gwiazdach, stanie na balkonie domu i znów ani uwierzy, że tak jest pięknie, i że dom jest jego własny, najwłaśniejszy, na amen, do śmierci.

A o godzinie 12 w południe, wtedy, gdy morcinkowe radjo zanosi się hejnałem z wieży Marjackiej i ciężko wali dwanaście uderzeń zegara, znów Morcinek stanie przed domem, popatrzy na poletko kartofli, dzielące płot od drogi, pomyśli — wartoby to przykupić — obróci się twarzą ku górom, obróci się twarzą ku domowi, zauważy, jakie słońca na ścianach są wyrzezane w drzewie, i zastanowi się — że też to ludzie nazwali: dom w słońcu!

Nawet skoczowscy Niemcy mówią: Das Haus in der Sonne. A skąd się ten dom wziął? Musi nam Morcinek opowiedzieć. I to koniecznie, gdyż ten dom, to ważna sprawa. Kiedy Morcinka w domu niema, dom za niego mówi. Więc niebylejaki musi być.

Niebylejaki. Strzeże go opiekuńczy duch. Siostra. Mieszka w nim ktoś, komu się Morcinek nisko kłania. Schyla się do kolan, do starych, urobionych, wdowich rąk. Matka.

Morcinkowa siostra, panna Tereska — tak ją nazywają, jak Skoczów długi i szeroki — z radością wita gości.

— A wam tu zaraz trzeba coś dać! A obiad u nas zjecie?!... Chodzcież do środka! Nie wymawiajcie się. Guścika niema teraz, ale napewnoby was nie puścił. Prosimy, pieknie prosimy.

Pod ścianami ciemne meble, sofa, tapczan. Wielkie biurko w rogu — dwoje okien patrzy na nie z dwóch ścian. Na biurku porządek, oszukańczy porządek, skoro wyda się tajemnicę, że Morcinek właściwie gdzieindziej pracuje. Na haftowanej serwetce stoi lampa naftowa. Ma Morcinek w domu elektryczność, a jakże, najnowocześniejsze żyrandole wiszą od sufitu i zgrabne bakelitowe kontakty poprzybijał sobie na ścianach, ta tylko bieda, że prądu niema. Więc się świeci naftą.

— Guścika bardzo od tej nafty oczy bolą, nie mieliśmy dobrej lampy, więc Gustlikowi od Jeiknerów pożyczałam — tłumaczy panna Tereska.

Idziemy na górę, prowadzeni przez pannę Tereskę, po schodach, wyłożonych chodnikiem. Najbliższe panny Tereski marzenie, przyczepić ten chodnik mosiężnemi prętami. Wyczyścić, będą jak złoto wyglądać.

Góra — są to przedewszystkiem dwa osobiste pokoje Morcinka. Jeden jest podłużny i wąski i stanowi pracownię, drugi szeroki i obszerny, jeszcze nie urządzony zupełnie, jest sypialnią. W pracowni — przy oknie, w kącie pokoju niewielki stolik — sekretarzyk. Osobno stoi maszyna do pisania. Jest tu znów szafa na książki, w której szufladach przyjaciele poukładali Morcinkowi wycinki z prasy i rękopisy powieści, jest też przytulny, kaflowy, ciemno-zielony piecyk, za którym zwykła siadywać matka Morcinka.

Wieczorem zimowym nastają takie ciche chwile. Za oknem śnieg. Beskidy białe, jak lodowe góry, wiatr hula, — świat dymi zawieją, a zaś w morcinkowej „chałupie" buzuje ogień, na dole panna Tereska gotuje na stole wieczerzę, na pięterku — pan Gustlik grzebie w papierach, stuka na maszynie, pani matka siedzą w kąciku, nałożyli okulary, czytają gazetę. Co też tam ów synek-marcinek nowego wymyślił, nowego wypisał?

Ulubiony kot Mruczek, znany całemu światu dziecięcemu z felietonów w radjo, grzeje się przy piecu. Albo też panu Gustlikowi, odzianemu w miękki pullover siadł na kolanach...

Otóż i rejwach na dole! Gospodarz! Panna Tereska biegnie po schodach.

— Guścik! Guścik! Toż ty się ucieszysz! Patrzaj — pan profesor Jesionowski jest u ciebie i ten pan z Warszawy, z ABC!

Jadalnia. Siadamy przy stole i gadamy. O czem? O domu.

Zazdrościmy Morcinkowi „chałupy". A on się tłumaczy:

— Domek raczej siostra budowała, niż ja. Ja jakoś nie wierzyłem, że można mieć swój własny. Siostra zakrzątała się koło tego, a że była nagroda literacka województwa śląskiego (12,500 zł.), więc było oparcie i podnieta do budowania. Kiedy stałem się właścicielem domku odkryłem w sobie rzecz ciekawą i niespodziewaną. Oto odkryłem w sobie jakiś rzewny sentyment do ziemi. Że ziemia i ja, to jedno i to samo. Że ziemia żyje, że ma serce jak człowiek i krew jak człowiek. Że jej serce a moje serce są czemś powiązane.



Gustaw Morcinek

— A teraz co tam się pisze w pańskim pokoju na górze? „Ondraszek"?

— Hm, majstruję już tego „Ondraszka" od dawna, a nie mogę dojść do końca (kot podszedł do Morcinka i trze się o nogę). Ma to być powieść. Powieść historyczna z wieku XVII i z początku XVIII. Bohaterem jest Ondraszek, śląski Janosik i Kostka Napierski w jednej osobie. Spostrzegam, że trzeba wiele szpargałów przewertować, często czekać na przypadek, by coś wpadło do ręki, a coby można wykorzystać w tej robocie. Ale napiszę — być może, że na przyszły rok już się będzie „Ondraszek" paradził w księgarni. W witrynie. Pozatem myślę napisać powieść o naszem polskiem nauczycielstwie. O nauczycielu i nauczycielce. O szkole, o dzieciach, o warunkach pracy, władzach i tak dalej. Tytuł już mam: „Wyorane kamienie".

— Skąd panu przyszedł na myśl taki kamienny, znojny tytuł?

— Kiedy raz byłem w Poznańskiem, widziałem na drodze wyorane kamienie, które kamieniarz rozwalał młotem. To ten właśnie obraz podsunął mi tytuł i plan powieści. Będą więc w y o r a n e k a m i e n i e.

— Ponieważ jestem z zawodu bakałarzem, podejdę do dziecka z tajnej strony. Od strony wewnętrznej. Od strony duszy. Ale to nie wszystko. Śni mi się jeszcze praca o kopalni, gdzie bohaterem będzie sama kopalnia i naczelny jej dyrektor

— Jakże to? Matkować?

— Ano tak. Mam wielu przyjaciół. Mam też wiele niewiast starszych o wysokiej kulturze, przedewszystkiem panią Zofję Kossak-Szczucką, do których odnoszę się wciąż jak synek do matki. Choć czasem niewiasta wcale nie jest starsza, tylko młodsza i od biedy mogłaby być moją córką. A widać, że tym niewiastom młodszym i starszym odpowiada ta rola, że to dla nich uzupełnienie jakiegoś instynktu macierzyństwa, bo chętnie się jej podejmują i matkują mi gorliwie.

— Doprawdy?

— Z sercem na dłoni, a w tem sercu miód rzetelny się przelewa szczodrze dla ich synka Morcinka. I radują się mojemi sukcesami.

— A pan sam raduje się? Naprzykład — kiedy tak przyszły pierwsze egzemplarze pierwszej książki w życiu?

— Przyszła ich duża paczka. „Serce za tamą" — to było. Aż koło 30 sztuk. Rozłożyłem je na podłodze i dotykałem palcami i wciąż się dziwiłem, że to moje, że to ja pisałem.

— A jak wogóle do pisania doszło?

— Otóż sam nie wiem, kiedy zacząłem pisać. Pisałem przedewszystkiem — jak mi mawiano — tak ładne listy, że dziewczyna, co je otrzymywała, beczała z radości. I kochała się we mnie tylko dla tych listów.

Wiem, że napisałem raz jakiś artykuł, czy feljeton, czy jakby to nazwać, w prasie lokalnej, na temat przewrotu na Śląsku Cieszyńskim. Czytała to Kossak-Szczucka, dostała mnie w pociągu i dalej mi tłumaczyć, że mam... talent. Za jej zachętą jąłem odtąd pisać już świadomie, wciąż pod kontrolą Pani Szczuckiej, która nie ustawała w namowach, by pisać, a niczego się nie bać. A kiedy za powieść „Byli dwaj bracia", napisaną pod jej namową, dostałem pierwszą nagrodę na konkursie Przewodnika Katolickiego w Poznaniu, pierwszą nagrodę spośród 167 innych nadesłanych powieści, tak się szczerze radowała, jakby to był jej sukces.

— Zdaje się równie ważną zmianą w życiu, jak wejście do literatury, było dla Pana wstąpienie do seminarjum nauczycielskiego?

— To było tak. Najpierw byłem w szkole powszechnej. Pochłaniałem wtedy książki bez żadnego wyboru. Obok „Żywotów Świętych" Skargi i Słowackiego czytałem t. zw. Schundromany, różne Leśne Różyczki czyli Tajemnice żebraka i podobne bzdury, wydawane w pokątnych drukarenkach żydowskich gdzieś w Chrzanowie, a kolportowane wśród górników przez różne czarne i kudłate charaktery o zbójeckich gębach. Były to powieścidła ciągnące się przez kilkadziesiąt t. zw. zeszytów, urywających się naprzykład w takiem miejscu: „Arnold podniósł nóż i już go miał utopić w piersi niewiernej Elfrydy, gdy... Dalszy ciąg nastąpi za tydzień".

Potem byłem także górnikiem. Przez trzy lata, w kopalni i na powierzchni. W kopalni przechodziłem zwykłą hierarchję górniczą, rozpoczynając karjerę od t. zw. polewacza. Taki chłopiec, polewający ganki i pył na ścianach, żeby zapobiec ewentualnemu pożarowi w razie wybuchu gazów, metanu albo CO. Poprzez ślepra, czyli takiego górnika, co woził u r o b e k w taczkach w niskich gankach, a czego cechą był stale odarty grzbiet z dużemi strupami, doszedłem do t. zw. łobowacza, wrzucającego urobek do wagoników.

Potem?... Potem pracowałem na powierzchni w kotłowni i przy maszynach na wetterszachcie, wiatrowym szybie, a stamtąd poszedłem za namową górników do szkoły. Górnicy dopomagali mi finansowo, żywo interesowali się mojemi postępami i łagodnie przymawiali od pieronów, kiedy świadectwa ze szkoły nie były po ich myśli.

— Wspomagali pana górnicy. Czy pan nie miał wtedy rodzinnego domu?

— Był, ale musiałem sam sobie radę dawać, odkąd ojciec zginął pod ziemią. Górniczą śmiercią.

— A czemu nie zawsze panu wiodło się w szkole? Odciągało coś pana od nauki?

— Wciąż Słowackiego czytałem i swoje pragnienia ujmowałem wtedy w takie groteskowe życzenie: — Pierona, żeby też tak móc pięknie pisać, jak Słowacki!...

Dużą rolę już wtedy — patrzcie państwo, taki młody a już — podżartował Morcinek (pewnie dla osłony, musiało go coś w sercu tknąć!) — odegrała kobieta. No, raczej młoda dziewczyna, tamta Bronka Oczkowska z „Wyrąbanego chodnika", okropne wybiokno w której zadurzyłem się bez pamięci. Była to Jugendliebe, polegająca raczej na rzewnem wzdychaniu i uwielbianiu, aniżeli na czemkolwiek innem. Cóż, kiedy ta niemoja Bronka poszła do pensjonatu, wróciła w kapeluszu, z parasolką i torebką, straszna dama i kiedy ją spotkałem, wracając ze szychty umorusany, boso, kudłaty — z rozchełstaną koszulą — to ona wydęła drobne usteczka, spojrzała na mnie z pogardą od stóp do głów, czy odwrotnie i odwróciła się, a jej koleżanka powiedziała mi, żebym sobie poszedł, gdzie pieprz rośnie, bo Bronka nie potrzebuje z takim zamazanym hawierzem rządzić... (Z takim umorusanym górnikiem rozmawiać).

— A dalej, co dalej?

— A pierona jasnego!.... Powiedziałem sobie i postanowiłem, jeżeli już nie zdobyć wzajemności dumnej Bronki, to przynajmniej zaimponować jej czemkolwiek. No i poszedłem do szkoły, a Bronka się cudowała i wciąż cuduje. Posłałem jej pierwszą swoją książkę, z dopiskiem, że przesyłam jej pierwsze nasze dziecko. Uradowała się dziewczyna. (Bo Bronka zamąż nie wyszła).



Matka pisarza.

— I tak już od tego „pierwszego dziecka" szły książki coraz nowe? Wszystkie sprawiły panu tyle radości, co pierwsza?

— Największem dla mnie zadowoleniem — przekonać się, że któraś z moich książczydeł poszła gdzieś w świat do nieznanych mi ludzi i zdołała trafić do serca, że tam ktoś czytał ją z bijącem sercem, czy ze wzruszeniem, czy choćby z sentymentalną łezką. A przedewszystkiem, że książka ta zdołała komuś przynieść wiarę w ludzi i w siebie. Są książki — nierządnice i książki cnotliwe. Książki chore i zdrowe. Mnie cieszy książka, co ma serce w sobie i dużo słońca. Jak najwięcej serca i jaknajwięcej słońca. By ludzie czuli się dobrze w jej towarzystwie. Taksamo, jak w towarzystwie ludzi mądrych a dobrych i jak podczas słonecznego poranka letniego. Niech książki będą podobne do moich Beskidów, o których mówi legenda, że kiedy je Pan Bóg stwarzał, uśmiechał się i Beskidy powstały z Boskiego uśmiechu.

— Już też chyba pańskie książki są takie, bo przyjaciół nie brak panu na świecie.

— Prawda. To jest taka rzecz, którą nie powstydzę się chwalić. Coprawda nie jest człowiek prorokiem we własnym kraju, co mi się wśród otoczenia nieraz sprawdza, ale zato po różnych krańcach Polski mam przyjaciół coniemiara. Zwłaszcza wśród młodzieży szkolnej. Dziewczyny i chłopcy. Pani Degen-Ślósarska, dyrektorka gimnazjum we Włocławku i jej wszystkie uczennice, to jedna moja wielka rodzina. Jest potem Rybnik, Bielsko, Cieszyn, Dąbrowa Górnicza, Białystok, Toruń, Pszczyna, Król.-Huta i w. innych. Czasem mam, miły zresztą, kłopot z listami. Lecz te listy lubię, bardzo lubię, bo są proste i szczere. W listach bywają dowody drobnej pamięci. Zakładki do książki, własnoręcznie wyhaftowane, fotografje, nalepianki łowickie, bywa i poduszka, i obrus i miły Bóg wie, co jeszcze. A przedewszystkiem bywają ogromnie kochane i złote serca młode. Przepadam za niemi.

Słyszycie! Słyszycie młodzi takie wyznanie! I wy wszyscy starsi, w których się ostał kęs młodego serca! Czyż nie odpowiecie na nie? Nie napiszecie do Morcinka?

A chcecie wiedzieć sekret, powiem, jak trzeba pisać, żeby mu sprawić przyjemność. Na adresie wypiszcie: „Skoczów. Dom w słońcu", a nie zaczynajcie listu przez „Szanowny" tylko od „Roztomiły"...

Tak. Trzeba do Morcinka list wysłać i przeprosić, że bez uroczystej pompy, jeno trochę po prostu i trochę po pierońsku, napisał się ten wywiad z najtęższym pisarzem Śląska, z poetą pracy i serca, z laureatem, który czarnemi, zbrudzonemi węglem rękoma kuje w literaturze uczciwie ryte imię.

Stanisław Miłaszewski

Dzień wybuchu wojny

w mojem wspomnieniu

Trudno po latach dwudziestu bez uszczerbku odnaleźć w pamięci j e d e n d z i e ń, choćby tak ważny, jak ten, w którym wybuchnęła wojna światowa. Zaglądając do wspomnień, widzimy przeważnie, że d z i e ń, jako kalendarzowa miara czasu, i d z i e ń, jako grupa zapamiętanych wrażeń — są czemś odrębnem od siebie... Bo we wspomnieniu dzień — nawet doniosły — nie składa się z wrażeń, chronologicznie ułożonych, ale jest raczej zbiorem chwil, które się zbiegły z różnych dat, jak drogi w punkcie węzłowym.

Otóż nawet dzień tak odrębny od innych, tak jedyny jak czwarty sierpnia 1914-go roku, nabrzmiewa w mojej pamięci szczegółami z innych dni i, wezbrawszy jak rzeka podczas powodzi, występuje ze swojego kalendarzowego koryta. Strzępy dat innych zlewają się z nim nieraz w porządku luźnym, niespełna logicznym.

Dzień czwarty sierpnia 1914-go roku to dla mnie przedewszystkiem — noc: Biała noc nad Bałtykiem. Byłem wtedy w Szwecji, a noce latem bywają tam tak widne, że ziemia stoi niemal w nieustannym świcie. Z białością nocną zlewa się dla mnie błam Bałtyku od wyspy Utö, aż do Sztokholmu, ściślej — aż do pomnika, na którym Karol XII-ty, w kożuchu pod mundurem, wskazuje ręką na wschód, na Petersburg, a nogi stawia jak w marszu wojskowym.

Z pomnikiem tym zawarłem znajomość jeszcze w końcu czerwca 1914-go roku, zaraz po przyjeździe. Stary bohater nie budził przeczuć wojennych. Swoim rynsztunkiem niedzisiejszym uwydatniał raczej pozytywny spokój Europy antyromantycznej, zasiedziałej w dobrobycie, Europy, która wszelkie wojny od lat 40-tu zgóra przywykła tolerować gdzieś na Dalekim Wschodzie, na peryferjach Afryki, lub — conajwyżej — na Bałkanach.

Echa odwieczne Wojny Północnej i Połtawy spały kamiennym snem w tym ukoronowanym piechurze, który według swojego widzimisię obsadzał trony, a zostawił po sobie tyle zwycięstw i klęsk, że po nich ślad niezatarty widać na karcie Europy nowoczesnej. Lecz stare echa bojowe brzmiały w mych „przedwojennych" uszach z oddali czasu conajmniej równie egzotycznie, jak oddalone przestrzenią echa Cuszimy albo Czataldży.

Każdy ma w życiu okres, gdy się odrywa od życia realnego i usiłuje stworzyć rzeczywistość własną na modłę swego marzenia... U mnie ten okres przypadł na pięć tygodni przed wojną, w czasie podróży poślubnej...

W Sztokholmie wypadł nam pierwszy dłuższy postój. Skandynawska Wenecja oczarowała nas oboje. Coprawda, łatwo nas było oczarować, bo żyliśmy jak pod urokiem. Mieszkaliśmy nad błękitnym rękawem morskiej zatoki, gdzie ani w dzień, ani w nocy nie słychać syren okrętowych, bo statki suną w bajecznej cichości, dając sygnały tylko banderą i światłem, aby nie urażać wysoko postawionych uszu, nad tą zatoką bowiem stoi pałac królewski.

Wtenczas się przekonałem, że szczęśliwi czasu nie liczą. Od dwudziestego trzeciego czerwca 1914-go roku, t. j. od daty ślubu, nie liczyłem go i ja; zlewały się dni jasne z białemi nocami w jeden uroczy ciąg, w jedną pieśń bez strof. W coś nierozsądnie rozkosznego.

A naokoło nas słońce zlewało się z morzem, morze — z jeziorem Möllar, miasto wchodziło ogrodami w pola, a sen w nieprawdopodobnych porach mieszał się z jawą, rozkoszną, jak on...

Gazet nie braliśmy do rąk przez dni kilkanaście. Czytanie wydawało się nam marnowaniem czasu. Tolerowaliśmy w naszem towarzystwie conajwyżej jakiś wiersz, niby dobrze wychowanego przyjaciela, który się nie narzuca i umie zniknąć w porę.

Któregoś jednak popołudnia musiałem spędzić pół godziny sam. Od fryzjera skręciłem do czytelni w hotelu, bez zamiaru czytania, raczej na papierosa (a były w Szwecji świetne i tanie, bez cła, istna Liga Narodów w dziedzinie tytoniu!).

Poprzez kłąb dymu rzuciła mi się w oczy jakaś niepierwszej świeżości ilustracja. Dobrej tuszy wojskowy i podstarzała dama siedzieli sobie na tle gobelinu, w postawach five-o'clock'owych. Spodziewając się opisu jakiejś arystokratycznej sensacji, wziąłem tygodnik i przeczytałem podpis pod pogodnym obrazkiem: „Ofiary zamachu w Serajewie". Co? Kiedy? Za co? Byłem chyba jedynym człowiekiem w Europie, dla którego dnia 10-go lipca 1914 r. ten fakt był jeszcze nowiną.

Żona zastała mię z tem pismem w ręku.

— Co to?

— Zabito arcyksięcia. Myślę, że będzie wojna europejska.

— Wojna europejska? Oszalałeś chyba!

W okamgnieniu przyznałem, że to szalona myśl. Wróciliśmy skwapliwie do „naszej" rzeczywistości.

. . . .

Coś około 3 godzin jedzie się statkiem ze Sztokholmu na wysepkę Utö. Dotyka ona brzegiem wschodnim pełnego morza, a zachodnim patrzy na gęsty archipelag swoich lesistych sióstr, między któremi woda przybiera postać to rzeki, to strugi, to jeziora. Do siebie samego m o r z e podobne jest dopiero tam, gdzie jest morzem w pełni, a więc na wschodzie wysepki.

Właściciel „Uto", zmarły fantasta-miljoner, testamentalnie zawarował, że domy mają tam być po wieczne czasy drewniane dla zachowania cech staroszwedzkich osiedla.

W tem zaciszu nie było nam jednak tak cicho, jak w ludnym Sztokholmie. Wróżby wojenne wzrastały z dnia na dzień. Wprawdzie niekiedy górował jeszcze nad ich wrzawą odgłos jakiegoś skandalu „światowego", lub tajemniczej, wyrafinowanej zbrodni, jednej z tych, które wieńczyły czterdziestolecie pokoju w głównym kadłubie Europy... Ale i z nich już przezierała wojna. Naprzykład — podczas rozprawy sądowej o zastrzelenie Calmetta przez panią Caillaux, dramaturg Henryk Bernstein, ex-dezerter, czynił publicznie akt skruchy i potępiał nieoględny pacyfizm, wołając wśród oklasków do męża zabójczyni:

— Powróciłem do armji, jestem artylerzystą i w dniu mobilizacji, a więc lada dzień wyjeżdżam na front. Kiedy wybiera się tam pan Caillaux — nie wiem, lecz go uprzedzam, że na wojnie nie można w y r ę c z a ć się kobietą i trzeba strzelać samemu!".

Na Utö poznaliśmy się z paroma rodzinami szwedzkiemi i mieliśmy sposobność podziwiać ich wysoką kulturę umysłową i obyczajową. Prymitywną wysepkę obrali sobie na letnisko uczeni, malarze i literaci, artystyczna elita Sztokholmu i Upsali. Później mieliśmy możność przekonać się, że nawet w warstwach niższych Szwecja już nie ma motłochu. Nowi nasi znajomi w wojnę powszechną nie wierzyli, uważając ją za przeżytek w kulturze XX wieku. Byłem inego zdania wbrew im wszystkim, a gdy przewidywania moje się sprawdziły, zaczęto przypuszczać, że nasza podróż poślubna miała także i cele polityczne na oku. Pismo Dagen umieściło parę wywiadów ze mną o Polsce w przededniu wojny.

Znajomym szwedzkim na Utö zawdzięczam poznanie arcydzieła Vernera Heidenstama „Karolinerny", czyli epopei Karola XII. Ten bohaterski król wówczas uparcie stawał na mojej drodze — to na pomniku, to w pomnikowem dziele. Z książki tej odniosłem dużą korzyść, przetłumaczywszy ją i wydawszy w trzy lata później. Był to rok 1917; okupacja niemiecka doprowadziła wszystkich w Polsce do takiej właśnie nędzy, jaką cierpieli jeńcy szwedzcy w opisach Heidenstama. „Karolinerna" stała się dla nas przez to bardzo aktualna... Ale mnie zależało głównie na tem, aby rozpowszechnić w ciężko doświadczonem społeczeństwie pewną prawdę, genjalnie przez Heidenstama wyrażoną. Rzecz dzieje się po pogromie połtawskim w szwedzkim obozie jeńców. Szwedzi nawet w niewoli tworzą organizację państwową. W karnej izbie, gdzie mieszka generał-jeniec Leevenhaupt, jest ich Ministerstwo Wojny, naprzeciwko w chałupie nauczyciela — finanse i oświata. „Naród, państwo, to przedewszystkiem porządek! — mówi Leevenhaupt do przygodnego gościa. — My Szwedzi, nawet w niewoli nie przestaliśmy być narodem".

Któż lepiej od Polaków mógł pojąć wagę takich słów.

Gdy odbywały się na Utö literackie wycieczki w bohaterską przeszłość — teraźniejszość zbliżała się szybkim krokiem do swojej wielkiej epopei wojennej.

Niepodal, w Norwegji, były manewry floty niemieckiej z bazą w fjordach. Prezydent Poincaré płynął Bałtykiem do Petersburga. Rozprawiano o karnej ekspedycji Austrjaków na Serbję. Jaurès padł od kuli. Wszystko to darło pokój na strzępy, biło na alarm, budziło wielkie nadzieje.

Już nie bojkotowaliśmy gazet, ale wchłanialiśmy je chciwie. Schodziło na plan drugi — nieubłaganą siłą rzeczy — nawet szczęście. Mobilizacja duchowa dokonywała się wbrew zamierającym już kołysankom o utrzymaniu pokoju.

Czwartego sierpnia wojna stała się faktem oficjalnym. Ewakuowano nas z Utö, którą ufortyfikowano. Znaleźliśmy się znowu nad błękitnym rękawem zatoki, cichym jak staw, gdzie statki płyną bez sygnałów i gdzie Karol XII na pomnikowym cokole odbywa swój marsz wieczny ku Peterburgowi.

Teraz głoszono wieść o innym marszu: o pochodzie mas niemieckich na neutralne Liège i podawano sobie z ust do ust słowa króla-wodza, Alberta Belgijskiego, do jego szczupłych wojsk:

„W końcu zwyciężycie — wy, bo jesteście siłą, broniącą prawa, nie zaś przeciwstawioną prawu".

W tem samem miejscu, gdzie tak niedawno możliwość wojny zdawała się szaleństwem, czytaliśmy z zapartym tchem korespondencje wojenne. Urywek jednej z nich, pióra Lavedana, jeszcze z pierwszego etapu mobilizacyjnego w Saint Pierre de Chaillot pozostał mi w pamięci:

„Kościół w połowie pusty, ale ci którzy tutaj przyszli, są podniesieni na duchu wiarą, jak ręką pomocną. Dziwna msza: taka cicha i krótka, a taka jednak wielka. Będę pamiętał do śmierci te twarze we łzach, bo łzy, w dzień ukrywane, tutaj, w cieniu ołtarza, miały nareszcie prawo pociec strugą. Żołnierz różnej broni, oficerowie różnych szarż, tu, na pierwszym postoju pili duchem s t r z e m i e n n e, dające nieśmiertelność. Kilka kobiet leżało krzyżem. Podniesienie trwało dłużej, niż zwykle i odbywało się w takiem skupieniu, jakgdyby wszyscy jednem sercem cierpieli, modlili się i kochali. Zdawało się każdemu, że mu Głos przedziwny mówi do nieba niewysłowione obietnice... Utkwiłem wzrok w ołtarzu: był tam złocony napis, który mię przeszył, jak włócznia: „Ego sum. Nolite timere. — Jestem. Nie bójcie się"...

Andrzej Ruszkowski

Teatralny film M. Pagnol'a

Sława Pagnola nie należy do najdawniejszych. Rozpoczął ją sukces „Topaza", w triumfalnym pochodzie obiegającego sceny francuskie i zagraniczne. Potem przyszły dalsze powodzenia, choć może żadne pierwszemu nie dorównało.

Wraz ze sławą rósł majątek, aż pewnego dnia stać było autora „Fanny" na... założenie wytwórni filmowej. Kto zna trochę kulisy filmu, łatwo zorjentuje się, że bez sporego kapitału impreza taka nie była możliwa.

Właściciel i pan niepodzielny wytwórni — mógł Pagnol realizować w niej dowoli swe zamierzenia artystyczne, niekrępowany partackiemi wymaganiami przełożonych profanów.

Zaczęło się od filmowania własnych sztuk, i to nie w jakiejś gruntownej przeróbce, ale z dokładnem zachowaniem szczegółów akcji, z djalogiem jaknajmniej skróconym. „Topase", „Fanny", „Marius" następowały po sobie, wywołując zażarte dyskusje w kołach filmowych, ściągając na Pagnol'a gromy krytyków, zarzucających mu brak poczucia kina, gadulstwo, nudę, a nawet... zupełną ignorancję.

Krytyka sobie, a publiczność... sobie. Filmy teatralne Pagnola zdobyły duży sukces finansowy, zwłaszcza na prowincji, która zresztą decyduje o dochodowości każdego filmu.

Kontynuując pracę swej wytwórni, która zaczęła teraz nakręcać utwory innych autorów (np. „Le Gendre de Monsieur Poirier", „Joffroi") — Pagnol w szeregu artykułów, ogłaszanych na łamach wielkich pism paryskich oraz w wydawanych przez siebie od grudnia 1933 roku „Cahiers du Film", — przeciwstawia opinji krytyków własną teorję filmu mówionego.

Oto zasadnicze punkty wyjścia jego teorji:

1) Film niemy był sztuką utrwalania i rozpowszechniania pantomimy.

2) Tak, jak wynalazek druku wywarł wielki wpływ na literaturę, — wynalazek filmu niemego wywarł wielki wpływ na pantomimę: Charlie Chaplin, Gance, Griffith, Réné Clair — przetworzyli pantomimę.

3) Film mówiony jest sztuką utrwalenia i rozpowszechniania teatru.

4) Film mówiony, przynosząc teatrowi nowe możliwości, winien go przetworzyć.

Z tych założeń Pagnol wysnuwa następujące tezy:

„Cała specjalna technika filmu niemego, mająca na celu zastąpić nie słowa, na nic się nie przyda w filmie mówionym", albo inaczej: „Film mówiony, który pozostaje zrozumiałym przy wyświetlaniu na niemo — jest złym filmem mówionym",

I teza druga:

„Film, będący traspozycją sztuki teatralnej na ekran, a jednocześnie nie dorzucający nic do jej wyrazu, jest złym filmem mówionym".

Już z tych kilku danych widać, jak bardzo jednostronna jest teorja Pagnola, dramaturga myślącego mimowoli kategorjami teatralnemi. Niesłuszne jest bowiem założenie, że film mówiony, to fotografja teatru. Film mówiony dąży do odtworzenia sobie właściwemi środkami artystycznej wizji życia, tak, jak teatr robił to i robi zapomocą sobie właściwych metod.

Głównym atutem filmu jest i będzie plastyka obrazu ruchomego, nie znającego przeszkód czasu i przestrzeni. Głównym atutem teatru jest i będzie — słowo.



Scena z ostatnio nakręconego filmu Marcel. Pagnol'a p. t. „Angèle".

Dziś, gdy film przemówił, śmiesznością jest wysilać się na sztuczne unikanie słowa przez pantomimiczne omówienia. Ale równą śmiesznością jest wprowadzanie na ekran słownych omówień tam, gdzie znacznie naturalniej będzie pokazać rzecz samą, która w teatrze nie mogła być pokazana ze względów technicznych. Tak np. zbliżenie twarzy na ekranie może nas lepiej i naturalniej wprowadzić w głąb danej postaci, niż djalog na scenie, umożliwiający uświadomienie stanu wewnętrznego bohatera oddalonym o kilkadziesiąt metrów widzom.

Bogactwo środków technicznych filmu pozwala na bardziej naturalistyczne odtworzenie prawdy, a przecie w rzeczywistości rzadko słyszy się djalogi sceniczne.

Pan Pagnol zdaje sobie sprawę z tego, że właściwie nikt jeszcze nie stworzył idealnego filmu mówionego, i w artykule, ogłoszonym w „Candide" z 15 lutego b. r., pisze, iż dwie są drogi dążenia do doskonałości w tej dziedzinie. Oto jego słowa:

„Jedni, jak ja, próbowali oddać wszystkie środki techniczne kina na usługi dzieła, p o m y ś l a n e g o p i e r w o t n i e d l a s c e n y. Inni szminkowali filmy nieme, dorzucając im nie bez pewnej hipokryzji, różne hałasy, a nawet hałas słów, bo ich djalog nie był niczem więcej. Z tych dwu szkół wolę pierwszą. Wierzę, iż jest ona na dobrej drodze i wyprzedza drugą znacznie w dążeniu do prawdziwego filmu mówionego".

My wolimy raczej szkołę drugą, na plan pierwszy wysuwającą rytmikę ruchu, światła i cienia, dającą nam plastyczną wizję wzrokową. Dźwięk potrzebny nam jest z jednej strony do większego złudzenia prawdy, z drugiej — do wzbogacenia widowiska filmowego wrażeniami muzycznemi.

Nie zgadzając się z zasadniczem nastawieniem Pagnol'a, trzeba jednak przyznać, że teatr filmowany ma także swoją rację bytu, o b o k prawdziwego „kina". Zwłaszcza w kraju o wysokiej kulturze teatralnej, jakim jest Francja, możność utrwalenia na taśmie kinematograficznej znakomitego spektaklu teatralnego przedstawia wartość ogromną. Zarówno mieszkańcy prowincji, rzadko lub wcale nie widzący dobrego teatru, jak potomkowie nasi, którzy nie zobaczą już żyjących współcześnie wielkich aktorów, uzyskują dzięki sfilmowaniu sztuki możność oglądania jej zawsze i wszędzie, gdzie tylko znajdzie się aparat projekcyjny i płótno ekranu. Tak np. w sezonie obecnym projektowane jest w Paryżu nakręcenie jednej ze sztuk moljerowskich w wykonaniu „Comédie Française" w pełnym tekście, w dekoracjach teatralnych i w tejże samej reżyserji. Będzie to ciekawy dokument, może nawet mający pewne wartości wzrokowe, ale p r z e d e w s z y s t k i e m [illegible]łący reprodukcją innej sztuki — teatru, tak, jak np. film naukowy o operacji chirurgicznej będzie reprodukcją sztuki lekarskiej.



Orane Demazis, bohaterka „Fanny" i innych filmów Pagnol'a.

W „kinematurgji", że użyjemy neologizmu Pagnol'a, trzeba szukać innych, kinu tylko właściwych środków ekspresji...

Po tej krytyce założeń Pagnol'a pochwalmy szereg bardzo interesujących szczegółów i uwag, poczynionych o filmie przez tego pisarza.

Przedewszystkiem zwraca on uwagę na zagadnienie „punktu centralnego" każdej sceny. W teatrze widz sam kieruje oczy na ten punkt, w kinie autor filmu pokazuje mu tylko to, na co winien zwrócić w danej chwili uwagę. Jeśli źle wybierze — przegrał, bo uwaga widza idzie mimo pokazanego przedmiotu i... gubi się wobec braku innego.

Ciekawe są również refleksje na temat autorstwa filmu. Autorem jest według Pagnol'a ten, w czyjej myśli powstała koncepcja dramatu. Tak więc autorem filmu „La Bataille" nie jest reżyser, ani autor scenarjusza, lecz sam Claude Farrère, którego utwór posłużył tamtym za kanwę ich realizacji. Cały bowiem aparat filmowców, to zdaniem Pagnol'a „un art mineur", sztuka poboczna, dająca tylko lepsze lub gorsze środki ucieleśnienia w pewien kształt konkretny samego utworu wyższej sztuki, który począł się w umyśle twórcy. Stąd negacja roli reżyserów filmowych, która wywołała burzę protestów.

Z tym poglądem możnaby zgodzić się tylko o tyle, o ile autor pomysłu umiałby myśleć obrazami filmowemi i wskazać je wykonawcom do realizacji. Póki autorzy tego nie potrafią, a cały ciężar przetłumaczenia ich pomysłów na język filmowy, skomponowania obrazów i ich zestawienia, ciążyć będzie na reżyserze i autorze t. zw. „drehbuchu", co zresztą często koncentruje się w jednej osobie, — póty nie sposób odmówić ich pracy twórczego charakteru i obciążyć ich w równej mierze z autorem pomysłu odpowiedzialnością za jej rezultat artystyczny.

Pagnol, przebijając się sam od niedawna przez skomplikowane zagadnienia filmu, błądzi w nich często. Ale czyż sam fakt, że wybitny pisarz rzuca na szalę cały niemal zarobek i cały autorytet, aby szukać praktycznych i teoretycznych zdobyczy w dziedzinie sztuki filmowej, nie powinien dać wiele do myślenia tym naszym intelektualistom, którzy od pracy w filmie stronią jakby z poczuciem pewnej wyższości, aby potem ciskać gromy na... niski poziom ludzi, co nad rozwojem kina pracują?

Leonard Cwalina

Zbieg

Nowela

Autor noweli „Zbieg", p. Leonard Cwalina, jest dziennikarzem amerykańskim. W ciągu 10 lat pobytu w Ameryce poznał dobrze życie, dole i niedole polskiego emigranta. Nowela, którą poniżej zamieszczamy, jest przedstawionym w wyrazistym skrócie obrazem z wielkiej, bezlitosnej giełdy pracy, jaką tworzą Stany Zjednoczone. Obrazem tembardziej charakterystycznym, że Cwalina pisze potocznym językiem emigranta-robotnika, zamerykanizowaną polszczyzną. (Red.).

Usiadł ciężko na zielonej ławce parku, wyciągnął zmęczone nogi przed siebie i spojrzał zatroskanym wzrokiem na zakurzone, popękane buty. Dopiero teraz zauważył, że szeroki nosek lewego buta odstawał od przyszwy i że pomiędzy przyszwą a noskiem utworzyła się wyraźna szczelina. Schylił się powoli, wypróbował ją palcem, następnie wyprostował się z trudem, nogę wyciągnął przed siebie, zgiął stopę wdół, potem do góry, potem znów nadół ściągnął i zakończywszy te doświadczenia, głową pokiwał z ubolewaniem.

Hm, hm. Niedobrze było. Nie dlatego niedobrze, że nosek buta oddzielał się od przyszwy, bo temu jeszcze można było zaradzić, lecz dlatego, że cały lewy but rozłaził się na cztery strony, a prawy nie miał ani obcasa, ani wielkich nadziei na najbliższą przyszłość.

Był już wrzesień, a deszcze coraz częściej spadały na obszar wielkiego New Yorku, który Walenty Zientak przemierzał codziennie wzdłuż i wszerz z Północy na Południe i ze Wschodu na Zachód, zależnie od adresów w gazecie, które kierowały go w tę lub inną stronę w poszukiwaniu nieuchwytnej pracy. Był też i inny nieprzyjemny szczegół. Otóż Walenty Zientak zauważył, że gdy się prosiło o pracę, to ewentualny pracodawca zmierzał go zawsze szacującem spojrzeniem, takiem od stóp do głów, no i oczywiście wzrok jego padał niezmiennie na buty, popękane doniedawna, lecz teraz najwyraźniej w świecie podarte, dziurawe.

...A dziurawy but wiadomo... Dziurawy but lepiej o nędzy rozpowie, niż kumoszka, co to języka za zębami utrzymać nie potrafi, no a żaden boss nie będzie znowu z nędzą się patyczkował. Spojrzy tylko na buty, potem na ubranie popatrzy, po twarzy oczyma przeleci i głową tylko potrzęsie, że niby pracy niema, że „full up" je. Bo to boss wszak od tego jest, żeby myślał, żeby mózgiem ruszał. A jak mózgiem rusza to po dziurawych butach odrazu pozna, że nędza. A dlaczego nędza? Ano dlatego, że robić nie chce, albo pije, cholera, albo kłótliwy jest, albo cosik z nim nie tak jak być powinno. No, to boss zara głową kiwa i mówi, że nic z tego. Żeby choć miał jakie buty całe to odrazu robotęby dostał, a tak...

Takie to myśli chodziły po głowie Walentego Zientaka, gdy siedział na zielonej ławce obszernego parku, osłoniętej żółtym wachlarzem gałęzi. Zapadły wzrok jego był utkwiony w to, co przynajmniej on uważał za przyczynę swoich niepowodzeń, a twarz jego stara, zniszczona, poorana bruzdami zmarszczek wyrażała rezygnację i przygnębienie.

Walenty Zientak miał 52 lata; wyglądał jednak o wiele starzej. Wyglądał właściwie na lat sześćdziesiąt a może na więcej. Życie sponiewierało go, obeszło się z nim po macoszemu, zepchnęło go w wartki nurt wypadków, wykreśliło go z listy żyjących i teraz gdy był już stary i niedołężny, z tą samą bezwzględnością co i przedtem, wyrzuciło go na brzeg przymusowej bezczynności.

Chłosta losu była silna i bolesna. Była tak silna, że Walenty Zientak przedstawiał już tylko strzęp ludzki — objekt nie do użytku w gigantycznym świecie businessu, który potrzebuje wszak rąk młodych, silnych i pracowitych.

A Walenty Zientak nie był już ani młody, ani silny i chociaż nie widział tego, chociaż nie chciał tego widzieć, ci do których zwracał się z prośbą o zatrudnienie byli wyjątkowo spostrzegawczy w ocenie jego ewentualnej wydajności, która nie mogła już być ani duża, ani tem samem dla nich korzystna.

I oto Walenty Zientak, przemierzywszy jak zwykle bezskutecznie swoją codzienną porcję mil betonu, siedział teraz na ławce i odpoczywając rozmyślał nad tem, że świat 30 lat temu był jak by inny, jakby bardziej łaskawy i mniej bezwzględny jeśli o znalezienie pracy chodziło.

..Trzydzieści lat temu. Ha! Trzydzieści lat temu to wszystko inaczej było — rozmyślał Walenty Zientak, patrząc przymglonym wzrokiem gdzieś na asfalt chodnika, a właściwie nie na asfalt, lecz na trzydzieści lat swego życia, które przesuwało się przed jego oczyma. — Trzydzieści lat temu to świat był inny i ludzie inni byli i człek nie musiał tam i nazad chodzić i butów zdzierać, jak dzisiaj. Trzydzieści lat, a tak jakby wczoraj to było. Wszak wtedy on taksamo, jak teraz, na ławce w parku siedział i nikla w kieszeni jeno miał i nie wiedział, gdzie pójść, co robić, jak o pracę zapytać.

Grinor był wtedy, dwadzieścia dwa roki zaledwie miał i tylko co do Ameryki przyjechał. A głodny był wtedy że wilka z rogamiby zjadł. Well, wilk nie ma rogów, ale wół ma, to wołuby zjadł, siur. Ale wtedy ubranie miał na sobie fest i buty starokrajskie z cholewami na glanc, a że się na sztrycie śmieli, to cholewy w nogawico chował, żeby niedopoznaki było. Siedział na ławce, bo nogi go boleli — cały dzień za robotom łaził — i całom nocby przesiedział, gdyby deszcz jak z cebra nie lunął i z parku go nie wygnał. Poszedł tedy sztrytom przed siebie. Szedł, szedł długo, skręcił w jedną ulicę, potem w drugą między jakieś fabryki i składy, gdzie już i świateł prawie nie było, tylko daleko od siebie rozstawione latarnie, światło rzucały, jak łojowe świeczki. Zmęczony był, to usiadł sobie na schodkach jakiejś szopy pod daszkiem, gdzie sucho było i deszcz nie padał, a potem położył się, skulił, koutem nakrył i zasnął mocno jak kamień. A potem widział tylko, że ktoś go tam za ramię szturchnął i zaczął tarmosić mocno, a jak oczy otworzył to zobaczył, że wiela chłopa na sztrycie stojało i wszystko z gazetami, albo w ręku, albo w kieszeni, albo pod pachom. To on też między nimi stanął; coś gadali do niego po angielicku, ale on ich nie rozumiał i głową potrząsał i ręce rozkładał — mówi, że nie pojmuje. A potem jakiś chłop na stronę go odciągnął za rękę wziął i spytał cicho — „Polak jezdeś?" A jak te słowa usłyszał, to jakoś ciepło mu koło serca się zrobiło i dech zatkał tak, jakby brata spotkał, tego Mietka, co to koło Łowicza w Krzeszowcach ziemię orał. Za rękaw rodaka schwycił i puścić nie chciał, bo się bał, że znów śród obcych ostanie. A ten drugi na buty mu spojrzał, na portki, na kout, na twarz, a potem powiedział „Auraj. Czekaj tu. Zaraz z formanem pogadam". Przyszedł tedy z formanem, a ten mu też na buty popatrzał i zmierzył całego od góry do dołu, a że buty miał całe i na nędzarza nie wyglądał „auraj" powiedział i na worki pokazał co to w składzie leżeli, a potem na wagony i cosik rodakowi po anglicku wytłumaczył. No i zara tedy do pracy stanął i zaczął worki taskać z tego składu na wagony. Tak pierwszy dziab dostał.

A potem drugi w Brooklynie: szify ładować. Ciężka była robota, ale płacili dobrze, to trzymał się jej aż mu sił starczyło. Tom robotę też mu ten sam rodak dostał. Kaczkowski się nazywał. Miał flet w Brooklynie i zara pierwszego dnia, jak tom robote w Nef Yorku skończyli do siebie zaprowadził, jeść dał, nakarmił, napoił i przenocował. No i odtąd w Brooklynie pozostał.

Jak niedziela była, a owertajm nie robili, to do kościoła z Kaczkowskimi poszedł, a potem do dum i spał do wieczora, albo w karty grali, albo do muwis na pikczer se poszli, jak było cosik śmiesznego. A jak pogoda była dobra, to na Kunajland, albo do Victoria Parku na zabawę co to susajda urządzała.

Jadźke swojom na takiej zabawie poznał. Ładna była dziewucha, trochę przytyła, ale to nic, on lubił takie grube, bo takie kościste to ani baba, ani chłop. Tańczył z niom, że aż mu pot ciurkiem po karku ciekł. Kouta musiał zdjąć i kamzelke i krawat rozwiązać i chustką furt twarz wycierać, bo gorąc był cholerny. A jak tańczyli, to nogami przytupywał —buty wtedy miał fasonowe lakiery — że aż podłoga trzeszczała i wszyscy za nimi się oglądali.

I wtedy w tańcu wyznał Jadźce że kocha jom. Nie powiedziała nic na to, jeno przytuliła się do niego i spojrzała — miała oczy duże, niebieskie jak dwa bławatki — tak pięknie, tak radośnie, że go cosik za serce chwyciło.

Na zapowiedzi dali. We wrześniu ślub był. Dzień był pochmurny, a tak lało, że psa na sztryte byś nie wygonił. Do kościoła pojechali karetom — wtedy karę to rzadko na ulicy człek spotkał. Kaczkowscy też pojechali i Pawlak i Andrusiewicz z żonom i inne sunsiady. Ksiądz proboszcz raz, dwa ślub im dał, pobłogosławił i jeszcze kilka słów powiedział. Po ślubie księdza prosili, żeby na wesele przyjechał, kuniecznie, ale ksiądz nie obiecywał, mówił, że bizi jest, ale potem na pięć minut przyjechał, pogwarzył, pożartował, wypił troche i gudbaj powiedział, bo śpieszył się na zebranie, co to w hali kościelnej miało być.

A oni bawili się wesoło. Jak zjedli i podpili, to stoły zaraz na bok i do tańca. On sam wodzirejem był. Ubrany był ligancko, surdut carny, krawat, kosule stywną i lakiery na sobie miał — jak szport. A Jadźka to jeszcze ładniejsza w białej sukni była jak zawsze. W kuchni ją całował, żeby goście nie widzieli, bo wstydliwy był, i w oczy jej prosto patrzał i pytał: „Zawżdy moja będziesz, Jadziu?", a ona zarumieniła się i twarzyczkę swojom mu na piersi położyła, mąkom surdut troche przywalała, i powiedziała cicho: „Zawżdy two ja będę, zawżdy Walku".

Rydachtur z „Telegramu" też przyjechał; zaprosili go na wesele, a jakże. Wesoły chłop ten rydachtur był. Do Jadźki niby to dla fonu się dostawiał, żeby go troche podraźnić, ale on wiedział, że to fon był, i to tak tylko dla zabawy. A na drugi dzień to w gazecie stojało, że Walenty Zientak z miejscowości Krzeszowce i Jadwiga z domu Robak, gody weselne święcili i że bawiono się hucznie i do samego rana.

Potem dwa lata żyli jak te gołąbki. Sztor sobie kupił — grosernie nie dużom na Lorel Ewni i cały dzień w sztorze siedział i targował. Niedużo targował, ale zawsze na życie zarobił; lepiej niż na dokach, bo tam to ciężka robota była. Ale niedługo to było, bo jak na kornerze kompanijny sztor otworzyli, to cały trojd co miał tam poszedł, bo tam taniej sprzedawali jak u niego, a on nie mógł prajs obniżyć, bo nieby nie zarobił. Musiał tedy sztor zamknąć i znowu roboty szukać i wtedy przyszli dni ciężkie.

Znów na doki poszedł. Znów robił jak katorżnik; węgiel ładował, worki dźwigał, taczki pchał — cholerna robota była. Pić zaczął, bo na takiej robocie to bez wódki ani rusz. A jak pijany do dum przychodził, to Jadźka zara na niego z awanturom — taka za wzięta baba była. A on też na niom; czasem obił jom, ale ona nic, na polisstejszun nie skarżyła, jak ta Andrusiakowa na swego chłopa, jeno prosiła, żeby nie pił więcej, żeby nie pił.

A w domu źle było. Rent był drogi to musieli bortnika na mieszkanie wziąć. On nie chciał, ale Jadźka namawiała, bo pieniędzy było mało, a tak to zawsze lżej. Z samego początku tego bortnika nie polubił; podejrzany cosik mu sie wydał. Taki miastowy, gładki, ale z oczu mu cosik niedobrze patrzało.

I potem jeszcze do Jadźki zaczął się dostawiać. Ot tak niby nic, żarcikiem — to jej cukier przy stole poda, to uśmiechnie się do niej, to kwiatów do dum przyniesie, niby to żeby w mieszkaniu ładniej było, ale on wiedział dla kogo te kwiaty byli. Zaczął tedy ich śledzić. Z roboty wcześniej wracał, do rumu pocichu się skradał, gdzie oni siedzieli, rozmowy podsłuchiwał, ale nic takiego nie dojrzał. Myślał że się myli, że to bez zazdrość, podejrzliwość go wzięła. Ale jednego dnia, jak razem przy wieczerzy siedzieli, to Jadźka roześmiała się głośno, zalotnie jakoś — bo to bortnik znów żarcik podpuścił — i lekko go palcami w ręke stukneła. Niby to nic nie było, ale jego coś w serce ukłuło mocno i znów podejrzliwość się narodziła.

Nic nie powiedział, jeno od stołu wstał, owerołsy ze sobom zabrał i na robote poszedł, bo to tedy w nocy na drugom zmiane robili. Ale jak do doków się przybliżał to go znów cosik w serce ukłuło i jakby djablik jakiś zaszeptał: „Babe w domu na noc z bortnikiem zostawiasz, ha-ha, ha-ha". Ale on nic. Pięście jeno mocno zacisnął, owerołsy pod pachom zmiął i dalej sztrytom szedł do doków. A jak szedł to butami o trotuar stukał, a jak stukał to ten sam głos do niego się odzywał: „Idź, idź, idź, idź... chłopie durny... idź, idź..."

Tego to już za wiela było. Nie wytrzymał. Na pięcie zakręcił i zara do dum poszedł, pognał jak cholera. W oknie światło się paliło w totem rumie, co to bortnik w nim mieszkał, ale on nic dojrzeć nie mógł, bo stora była zapuszczona. Słyszał jeno pod oknem jak rozmawiali, a potem głos kobiecy zachichotał, a potem światło zgasło i carno koło dumu się zrobiło.

Cicho po śtopsach na ganek wszedł, cicho klucz w zamku przekręcił i drzwi otworzył. W domu cicho było i ciemno, jakby spali wszyscy. Myślał tedy, że mu się przywidziało. Że to podejrzliwość go chwyciła, bo o Jadźkę zazdrosny był. Chciał już zawrócić i do doków na robote iść i już kilka kroków był zrobił, a tu znowu w totem rumie u bortnika śmichy posłyszał. Ciarki mu po skórze przeszli, krew do łba uderzyła, a ręce miał zimne jak śmierć. I tedy jakby mgła jakaś oczy mu przysłoniła; nic nie widział tylko czuł, że w sercu cosik ciężkiego dusi, że dławi i gniecie i że cosik zrobić musi, żeby to z serca wyrwać.

Szybko do kuchni wbiegł, siuflade wyciągnął, co to łyżki, widelce i noże w niej leżeli, i największy do ręki wziął. Potem jak ten kot do sionki skoczył z pięściami na drzwi chciał się rzucić, ale zatrzymał się, odskoczył z trzy kroki i z całej siły buch w rame uderzył.

Drzwi w drzazgi poszli odrazu, a on wskoczył do rumu jak warjat, za gardło go schwycił psubrata — raz, raz, jeszcze raz, na ziem rzucił, rwał, szarpał, dusił, drzgał w co popadło. A ta baba krzyczała strasznie. A tak strasznie krzyczała, że dusiła się z krzyku. A on ją potem na szyję palcami schwycił, zgniótł z całej siły, żeby zadusić jak gadzinę, do okna podciągnął, żeby w oczy fałszywe jeszcze raz popatrzeć i wtedy ręce mu zadrżeli, w kolanach słabość poczuł i puścił ją na podłagę. To nie Jadźka była. To nie Jadźka. To ta Kaśka od tych sunsiadów co obok mieszkali.

Przytomność mu odrazu wróciła. Do sionki wybiegł jak szalony, a tam Jadźka we drzwiach stała i patrzyła na niego, patrzyła jak na stracha. Spojrzał na niom, a potem na siebie, na ręce, na kout, na koszule — wszystko czerwone było, a w oczach mu też czerwono się zrobiło i znów na Jadźkę spojrzał, a ona tylko płakała i przez łzy mówiła: „Walku! Walku! Coś ty zrobił?! Coś ty zrobił, o Boże Miłosierny!" To jej ostatnie słowa byli.

Już odtąd nie słyszał jej więcej. Biegł sztrytom przed siebie, gdzie oczy nieśli, a stylu zanim gwizdki, krzyki i gwizdki i tupoty, jakby całe stado goniło, i znowu krzyki, a potem coraz dalej i dalej, coraz ciszej i ciszej, a potem zupełnie cicho, a potem nic.

Bez całom noc po sztrytach się błąkał. W głowie huczało, gorzało — myślał, że zwarjuje, że zmysły traci. Zdało mu się, że ktoś za nim idzie krok w krok, krok w krok. Zdało mu się, że ktoś już go za kapotę chwyta i wtedy drgał cały, kroku przyśpieszał i szedł, szedł, szedł.

Gdzieś na pustej locie koło jakiejś szopy drewnianej beczkę z wodom zobaczył. Ręce umył, plamy z koutu i ze spodni zmył, ale te plamy to jakby w ciało mu się wżarły, jakby ręce i nogi paliły. Szedł przed siebie jak pijany. Trzy razy zawracał. Chociaż na polis stejszun pójść i wyznać wszystko, że tak i tak, że zabił, że nie wiedział, co robi, ale potem znowu nogi za pas brał i uciekał, uciekał.

Tak całom noc przechodził. Straszna to była noc i długa była — najdłuższa, jaką pamiętał.

Na szczęście trzydzieści talary przy sobie miał w koucie zaszyte. W sekend hend sztorze ubranie kupił, a te splamione do śmietnika wyrzucił. Potem wąsy zgolił, żeby polismany go na sztrycie nie poznali. Na stejszun w Nef Yorku tykiet kupił, na trejn wsiadł i pojechał daleko, daleko, do takiego miasta, co to Messing się nazywał.

Mała to była mieścina; trzy tysiące ludu tam jeno mieszkało. Wysoko w górach i daleko jakby Pan Bóg o niej zapomniał. Nad jeziorem tartak był, a takżesamo fabryka, co to papier w niej robili. Poszedł do fabryki o dziab prosić, ale tam nic nie dostał. Poszedł do tartaku i szczęście miał, bo to akurat tedy jednego robotnika brewno przywaliło. To jego forman do roboty wziął i deski nosić kazał.

No i taskał deski, taskał bez liku. Pierwsze dni to okropne byli. Zawżdy mu się zdawało, że ktoś patrzy na niego, że tuż, tuż za nim chodzi. A w nocy to takie straszne widzenia miał; bortnika widział jak żywego, cały czerwony był i twarz miał chudom, strasznom i oczy jak dwa ognie i wciąż na niego tylko palcem pokazywał i mówił: „To on, to ten"... A on chciał uciekać i nie mógł; na miejscu jeno stał i dreptał, a ludzie biegli i krzyczeli: „Łapaj go zbója! Łapaj!!!"

A potem Jadźka taka w bieli cała, jak tego dnia co ślub brali. Stała i patrzyła na niego i mówiła jak wtedy co w kuchni ją całował: „Walku, zawżdy twoja bede, zawżdy", a potem to twarz jej ze strachu się przemieniła i palcem na niego pokazywała i krzyczała, krzyczała: „O Boże Miłosierny, coś ty zrobił, o Boże!!!..."

I tak dzień za dniem płynął jak woda w strumyku. Najgorsza to niedziela była, bo w dzień roboczy to bez całki dzień deski na tartaku taskał i żadne głupie myśli mu do głowy nie przychodzili. Ale w niedzielę i takżesamo w święto, to nie wiedział co robić ze sobom. Jak pogoda brzydka była to w domu siedział i myślał nad swom pieskom dolom, a jak dzień ładny był, to za miasto szedł szosom do lasu, albo nad łąki i po polach się wałęsał tam i nazad bez celu. Wtedy Krzeszowce mu się przypominali i brat Mietek i matka stara, co to go ze łzami w oczach żegnała jak do tej Hameryki wyjeżdżał. Chciał listy pisać, chciał się dowiedzieć co tam u nich tera się dzieje, ale mu zara do głowy przychodziło, że to nieprzezpiecznie bedzie, bo znajomki w Brooklynie się zwiedzom i zara na polis stejszun dadzom znać. Kładł się tedy na trawe i ziemie ściskał jak matke swojom i płakał, płakał nad swym losem przeklętym.

Nie było tu nikogo, nie było. Sam jeden ostał jak palec na tym Bożym świecie. I Jadźki nie było i domu nie było i rodaków i całe jego życie poszło, poszło.

A potem drugi rok przyszedł i trzeci i rok za rokiem biegł, jakby to nie roki, jeno dni byli. A potem to już lżej było, zapomniał potrochu, nałożył się do tego życia. Pieniądze jeno do banku składał i deski nosił i żył jak ten pustelnik. Tak dwadzieścia cztery roki minęli.

A w ostatnim roku to się wszystko przewróciło i na gorsze się odmieniło. Dziab stracił bo dwa razy z deskom na ziemie upadł. Forman do ofisu zaskarżył, że za stary je, że nie może już desków nosić. No to jego i od pracy odstawili. Ale on silny jeszcze był. Jeno tego dnia co to nogi pod nim się ugięli, to gorąc był, to wiadomo jak gorąc, to i najsilniejszy chłop nie wytrzyma. Ale jego nie słuchali. Pejde wypłacili i z roboty wont poszedł.

A na drugi dzień jak do banku po pieniądze przyszedł, to przed totem bankiem wiela narodu zobaczył, a wszyscy do drzwiów się cisnęli, bo każdy pierwszy chciał być. Ale drzwi zamknięte byli. Sześciu policmanów przed bankiem stojało, a naród od zewnątrz na tote drzwi parł. To on nie mógł zrozumieć co to je. Znajomka, co to razem z nim na tartaku robił, zobaczył i zara do niego podszedł i spytał. To ten mu powiedział, że bank „bankret" je i że wszystkie pieniądze, co to w niem byli, przepadli, i jego też. Trzy dni tam chodził i nic, a na czwarty, to mu dali 100 talarów i powiedzieli, że to wszystko co dostanie.

To on wtedy rzeczy zapakował i do Nef Yorku pojechał, bo w totem mieście, to już innego dziabu nie można było dostać. A w Nef Yorku jak ze stejszun na ulice wyszedł to jeden taki ligancki facet go zaczepił — fasonowo ubrany był i kamasze miał takie świecące i tak ładnie od niego pachniało, że aż przyjemnie rozmawiać z nim było. To ten facet zara go spytał czy dziabu szuka, a on powiedział, że tak. I dalej wyznał, że na tartaku bez 25 lat robił i że zna tom robote. I tedy ten drugi powiedział: „Auraj, kam an", że to on akurat niby takich szuka, co to na tartaku robili i że jemu dziab da. I tedy subwayem pojechali daleko w sam koniec Nef Yorku.

Do jakichś składów go przyprowadził i powiedział, żeby zaczekał na niego, że z bossem musi pomówić i zara spytał, ile pieniędzy przy sobie ma. To on mu powiedział ile. Ten drugi to chciał wszystkie pieniądze zara zabrać, bo to bossu musiał za ten dziab zapłacić, ale on mu tylko 50 talarów dał. A jak tamten poszedł, to czekał na niego czekał do samego wieczora. Ciemno się zrobiło, deszcz zaczął padać a on czekał, a tamtego nie było. To on się tedy opamiętał, że ten drugi go oszukać musiał. Na polis stejszun zara dał znać, cosik tam zapisali i powiedzieli, że jak złodzieja złapiom, to jego powiadomiom ale pieniądze przepadli.

I tak potem chodził po Nef Yorku bez cały miesiąc i nic nie mógł dostać. Pieniądze wyszli, buty zdarł, a roboty nie było. Bo wiadomo jak boss na podarte buty spojrzy, to widzi, że nędza je. A jak nędza, to znaczy, że robić nie chce, a jak robić nie chce, to je no gud. Żeby buty miał nowe, to odrazu dziabby dostał a tak, to wiadomo...

Westchnął ciężko, pochylił się i jeszcze raz palcem po dziurze przeprowadził. Na asfalt chodnika, tuż przed nim, spadło kilka ostrzegawczych kropli deszczu. Ludzie śpiesznie opuszczali ławki i szybkim krokiem zdążali ku wyjściu, żeby ukryć się przed nadchodzącą burzą. Spiekota dusiła, a powietrze było ciężkie, parne. Na niebie błysnęło; pomruk gromu dał się słyszeć w oddali.

Zientak nie śpieszył się jednak. Chusteczką oczyścił swe buty z kurzu, powstał ciężko, popatrzył na ławkę, a potem przed siebie i jeszcze raz westchnął. Niebo trysnęło naraz zimnym prysznicem deszczu. Powoli, nie śpiesząc się, Zientak ruszył w kierunku wyjścia. Wyglądał dziwnie samotny na mokrym pustym chodniku w obszernym opustoszałym parku. Szedł wolno, niepomny na strumienie deszczu, które ciekły po jego ubraniu. Szedł stary, zgarbiony, jakby dźwigał na sobie jakiś ogromny, niewidzialny ciężar...

Aleksander Sendlikowski

„Io triumphe!“

„Triumfuj, cezarze!

Wrogowie leżą pokonani potężną twą pięścią. Przez dwanaście lat nadludzkich walk rozbijałeś armję za armją, zdobywałeś miasto za miastem, zwyciężałeś przeciwnika za przeciwnikiem. Rumak twój niósł cię przez trzy części świata od najskrajniejszych granic zachodu do gorących brzegów Nilu, od falujących wód Renu do Numidyjskiej pustyni. Wszystkie te krainy oglądały powiewające nad niemi orły twych legjonów, wszystkie słyszały rozbrzmiewające fanfary twych zwycięstw! Panem dziś jesteś, władcą wszechmocnym i nieograniczonym, którego rozkazom posłuszna jest cała kula ziemska. Triumfuj, Cesarze!“ (str. 405) *).

Taką była potęga Cezara! Świat cały, ówczesny świat, przemierzyły jego legjony i jego wola decydowała o wszystkiem. Był zwycięzcą. Miał w sobie coś ze zdobywcy, coś z pędu porywającego go, jak orkan, naprzód i naprzód. Czuł głód, pragnienie władzy. Od dzieciństwa, od chwili, gdy drobne jeszcze dłonie mogły zaledwie objąć włócznię, opleść palcami rękojeść ciężkiego miecza. Cały żył tem pragnieniem zdobywania.

A Rzym, gdy Cajus Juljusz Cezar wstępował na arenę politycznego życia nie był tem wygodnem, łatwem do zdobycia państwem, w którem władzę można było posiąść pracą i poświęceniem. Marjusz i Sulla ze swoimi zwolennikami gwałtem wydzierali sobie władzę, nie pragnąc niczego innego, jak tylko swobodnego jej, dla własnych celów, używania.

I Cezar, który od najwcześniejszej młodości posiadał odwagę mówienia, co myśli i nieustępowania z drogi naraził się krwawemu dyktatorowi Sulli. Edykty zalewają Rzym dławiąc resztki wrogów. Cezar musi uchodzić, idzie na wygnanie. „Cały kraj stoi w pożodze i krwi, a senatorowie, wojskowi i trybuni ludowi, którzy zawinili wrogim stosunkiem do dyktatury lub byli oń podejrzani, są mordowani bez śledztwa, bez sądu i bez najlżejszych nawet wysiłków, aby upozorować lub wytłumaczyć podobne postępowanie. Utworzyły się całe bandy oprawców, dobrowolnych psów Sulli, przeciągających wzdłuż i wszerz Italję, aby wykonywać wyroki wszechmocnego pana, a przytem pokryjomu suto się obławiać.

„Rzym składa się obecnie tylko z dwóch rodzajów mieszkańców: z łowców i ściganych, z katów i ofiar“ (str. 30).

Cezar uchodzi. Kryje się. Czuje jak go ścigają, jak obręcz łowcza zaciska się dokoła. Cezar chce żyć. Żyć za wszelką cenę. Nie być zabitym, jak zwierzę w kryjówce. Długie, bezsenne noce. Ciągłe napięcie nerwów, nasłuchiwanie pogoni, nieustanna gotowość pchnięcia się nożem, byle nie dać się wziąć.

Cezar jedna się z Sullą. W ucieczce zrozumiał, że walki z wrogiem w bezpośredniem starciu nie wytrzyma, że wygrać nie może. Zostanie starty, jak tylu innych. Poco? W imię czego? Czy będzie to zwycięstwem? Cezar pokonywa uprzedzenie, godzi się na pojednanie. Nie waha się stanąć przed oczami dyktatora i powiedzieć mu, że jego dyktatura prowadzi do rabunku, jest wygodna dla tych, którzy chcą się dobrze obłowić. Cezar rozpoczyna wielką grę. Wyjeżdża na Wschód. Poznaje jego czar, dziwny nieznany mu urok. Zwycięsko dobyty miecz spoczywa w pochwie. Tancerki. Uczty. Wonne kadzidła, bicze pereł, tańce, pieśni. Komnaty władcze, trójnogi z wonnem drzewem, oszołomienie, zapach zgrzanych ciał. Deszcz róż opadający ze sklepienia. „Coraz bardziej zbliżają się ku niemu pachnące usta, dotykają wreszcie jego warg i wpijają się w nie długim pocałunkiem. Dwoje rąk przesuwa się po jego czole, po skroniach, po szyi i po piersiach, wreszcie gorące ciało opada na niego lekkim ciężarem“ (str. 47). Czy zagubiła się wielka droga? Czy słodycz rozkoszy spętała ramiona żołnierza? Cezar otrząsa się. Komendant Marek Termus pcha go do boju. Cezar w pierwszym szeregu. Z pasją, z namiętnością narzuca się władczo żołnierzom, zmusza ich do ślepej uległości. Mitylena zdobyta, aspirant Cajus Cezar wyróżniony. Pierwsze zwycięstwo miecza. Zwycięstwo, które uczy Juljusza walki, daje mu poznać żołnierza.

Potem Cezar powraca do Rzymu. Kłębowisko intryg, szarzyzna małych, często nikczemnych ludzi. Spiski, zdrady, podłość. Trzeba iść naprzód, pchany siłą niepojętą, wiarą w swą gwiazdę. Naprzód! Wschód nauczył Cezara układności, ukrycia pod obojętną maską swoich rzeczywistych pragnień i celów, milczenia z zaciśniętemi zębami, z zawartemi pięściami

Cóż z tego, że sam czuje swoją wielkość. Co znaczy więcej od innych On, jeden z tych obiecujących wiele młodzieńców? Wschodzi gwiazda wodza Pompejusza. Ona błyszczy, Cezar jest byłem, prochem. Gwiazda Pompejusza błyszczy tak ostro, że wydaje się chwilami Cezarowi, że plany jego są rojeniem, że nie szczęście ściele mu się pod nogi, że niczego nie dokona. Łamie się. Męczy. I w tej trudnej chwili, w tym ciężkim momencie mówi mu twardo matka: — „szczęcie i nieszczęście nie istnieją! Bywa tylko słaba lub silna wola“. „Energja nie powinna przejawiać się w bezustannej aktywności: prawdziwa siła skupia się w spokoju i czeka na właściwy moment „wyładowania“. „Dla osiągnięcia celu niema ustalonych linij wytycznych, lecz z wytwarzających się sytuacyj należy według możności wyciągnąć jaknajwięcej korzyści“ (str. 66). Jest to dla Cezara nowe szarpnięcie. Jak Termus obudzi w nim żołnierza w dużej skali, tak matka natchnęła go, przepoiła sztuką wielkiej polityki.

On pośredniczy między Krassusem a Pompejuszem, on wiąże ich ze sobą. Od obu bieglejszy czyni z nich stopień dla swojej dalszej karjery. Idzie teraz planowo, spokojnie, pewnie. Niema złej czy dobrej okoliczności, z którejby nie wyniósł korzyści dla siebie. Dźwiga się, wyrasta. Słowa: Cajus Juljusz Cezar — nabierają treści. Cezar! Cezar! Cezar! Lud wie, co znaczy imię trybuna. A jego oczy widzą więcej, niż się innym wydaje. On, trybun ludu, wie, że lud nie ma własnego zdania, że nie zastanawia się nad niczem, że pójdzie za każdym, kto większy kęs poda. Zna on obłudę sojuszników, tępe korzenie się pokonanych, usłużność służalców. Ambicje jednostek, ich wzajemna niechęć, czy nienawiść, oto punkty, wedle których przesuwa się oś strategji Cezara. Cezar zna już granicę, zakres swoich sił. I gdy odnawia i przywraca rozbity z rozkazu Sulli posąg i łuk Marjusza, wie, że nikt nie będzie śmiał zburzyć go nanowo. A potem Cezar wznosi się coraz wyżej — staje się Pontifexem, zostaje konsulem. Bieg wypadków, nici losów Republiki dostają się w jego ręce. Ta moc, siła, imperatyw wewnętrzny, narzucający mu się z przeogromną siłą pcha go dalej, ciągle: naprzód.

Musi dokonać czegoś wielkiego. Do władzy nie idzie dla nasycenia swej ambicji. Nie. Chodzi mu o los Państwa, które drą i niszczą potworne walki. Cicero — ojciec ojczyzny! Człowiek, który żyje i oddycha chęcią władania, wielki aktor na kolosalnej scenie. To znów Katylina, utracjusz i szaleniec, wznoszący miecz poto, aby wśród rzezi łatwiej było spalić księgi długów i napełnić kieszenie. Kto myśli o jutrze Rzymu? Może Pompejusz, ślepo oddany Senatowi, żądny publicznych triumfów i laurowego wieńca na skronie?

I tylko on, Cezar, wydziera się z tego wężowiska, z tego obrzydliwego kłębowiska. Tylko on myśli o losie Państwa, przyszłości, Republiki. Italja bezbronna. Rzym zagrożony! Germanowie kują swe długie, ciężkie miecze. Położyć, rzucić natychmiast na granicach wielkie zapory. Ludy graniczne związać z Rzymem i uczynić z nich tarcze.

Wyprawy wojenne Cezara! Miecz Cezara błyszczy w Galji. Bibrakte. Zgniecenie butnych Helwetów, pokonanie Ariowista, wyprawy na Nerwjów. Walki z Germanami. Przejście Renu, wyprawy brytyjskie, tłumienie buntów, gniecenie powstania, bitwy, krew. Wojny domowe. Zwycięstwo nad Vercingetorixem, walki w Hiszpanji, na Wschodzie, w Egipcie, w Italji. Orły legjonów rzymskich niosły zwycięstwo. Gwiazda Cezara jaśniała. I Cezar czuł się najlepiej, gdy swoje legjony gnał marszami, rozbijał nieprzyjaciół, usuwał przeszkody. Między pochodem a pochodem, gdy legjony spoczywały na leżach, wódz w Rzymie umacniał wiązadła potęgi Państwa. Kładł fundamenty z kości swoich oddanych żołnierzy, użyźniał ziemię wsiąkającą w nią krwią na polach starć, rzucał, sypał żywy szaniec na granicach rozrastającego się potężnie Imperjum. To nie mogło być stracone. Cezar czuł, że nadchodzi czas ujęcia w swe dłonie steru rządów. On powagę i autorytet Pompejusza łączy z bogactwem Krassusa i podwaja, wzmaga wielokrotnie przez swoją inicjatywę wolę służenia Rzymowi. Ale pęka pierwszy triumwirat. Krassus ginie w walce z Partami, Pompejusz staje się narzędziem zdrady senatu. Przychodzą nowi sprzymierzeńcy: Lapidus, Antonjusz. Ale najpewniejszymi są: umysł i wola Cezara, wiara w przeznaczenie, w swoją opatrznościową rolę dla Rzymu. Legjony są mieczem Cezara. Na granicach leżą pokorne, ufne ludy dziś służące, strzegące Imperjum. Wrogowie Państwa milczą. Senat słucha ulegle. Cezar dyktuje swą wolę. Rozkazy, edykty. Zmienia, buduje, tworzy, przetwarza. Cel się dopełnia — Rzym zabezpieczony.

Triumf imperatora! Wóz wojenny zaprzężony w białe konie. Zgiełk tłumów witających orszak, pochód dzwoniących żelazem legjonów. Cezar szczęśliwy? Radosny? Nie. Właśnie teraz w godzinie spełnienia Cezar widzi, że dokonał, czego winien dokonać, że rola jego skończona. Rzym nie zmienił się. Nie zmienili się ludzie. Wola Cezara nie mogła ich karłowatych postaci zmienić w monumentalne, imponujące wielkością posągi. Spełnienie, dokonanie. Zaczyna się drugi, krwawy szlak Cezara, jego własna tragedja. Odrzucił wszystko szedł ślepo, walczył o jutro Państwa — cóż z tego? Wyrzekł się szczęścia, odrzucił miłość, bo ta krępowała mu ramiona. Zniszczony, ze skroniami posrebrzonemi patrzy na kruchość, na małość dokonanego dzieła. Ostatkiem sił dźwiga imperator swoje posłannictwo: ostatnia wyprawa przeciw Partom — zamknięcie obręczy bezpieczeństwa Rzymskiego Imperjum.

Śmierć pod ciosami sztyletów. Dumna, godna, zwycięska. Koniec epopei.

Mirko Jelusich mistrzowsko nakreślił swą powieść o losach, o życiu Cezara. Ostro prawie brutalnie zaznaczył kontury charakteru. Dał postać wielką, żywą. Cezar uchodzący przed pościgiem, ulegający pokusom, Cezar układny, brutalny, to znów tkliwy — to oblicza rzeczywiste człowieka.

Rozumiemy Cezara, gdy w swej walce nie zatraca się całkowicie, gdy żąda dla siebie miłości, zanim się z jej uroku zdoła wyzwolić.

„Potrzeba mi nietylko jasności dnia, lecz i purpurowej ciemności nocy z jej tajemnicami i cudami. Potrzeba mi oszołomienia, w którem zatonę, zapominając o sobie, upojenia, które mnie odurzy i z którego wrócę do rzeczywistości wyzwolony i oswobodzony. Chcę abyś mi dała — mówi Cezar do żony — nietylko jasne chwile dnia, lecz i płomienne godziny nocy“ (str. 178).

Postać Cezara narysowana jest z godnością. Bez pozy. Ale i bez groteski. Wszystko, walka, miłość, cierpienie jest tu logicznie związane łączy się z całością nie odpada, jak odtrącony od posągu kawał marmuru. Autor starał się nakreślić postać historyczną, ożywić ją. Szczegóły nie rozpraszają, nie gmatwają obrazu, służą jako podkreślenia. Nigdzie nie widać nadużywania środków, sięgania po efekty łatwe i niekosztowne. Uderza powaga, takt, przy całym entuzjaźmie.

Z jaką wyrazistością oddana jest chociażby pogarda Cezara dla uległego tłumu, sprzedajnego zgromadzenia ludowego, albo dla republiki takiej, jaką ją chcieli widzieć rzymscy politycy.

„Republika! Czemże ona dla was była!? Dla odłamków partyj — możliwością do zwarcia się w całość; dla małych dusz — pozorem do zajmowania miejsc wielkim; kitem, zlepiającym ziarnka piasku, aż wzrosną do rozmiarów skały; konglomeratem frazesów, póz, perfidyj, kłamstw zbyt tchórzliwych, aby się przyznawały do swej wartości i podlostek niedość silnych, aby mogły osiągnąć cele; okazją do wzajemnego podsuwania sobie lepszych kąsków; splotem wzajemnie udzielanych przywilejów; frymarczeniem, nie uznającem niczego szlachetnego i wzniosłego; wypisywaniem na sztandarach oszukańczych haseł równości, a niepozwoleniem do wzniesienia się nikomu ponad podłość!“ (str. 414).

Surowe słowa. Ale Cezar znał miarę swej surowości. Krwi nie przelewał napróżno. Pamiętał, że „z krwią ludzką żartować nie można: pociąga ona za sobą wcześniej czy później tego, kto ją wytoczył. Od początku świata zawsze tak było i tak pozostanie“ (str. 70).

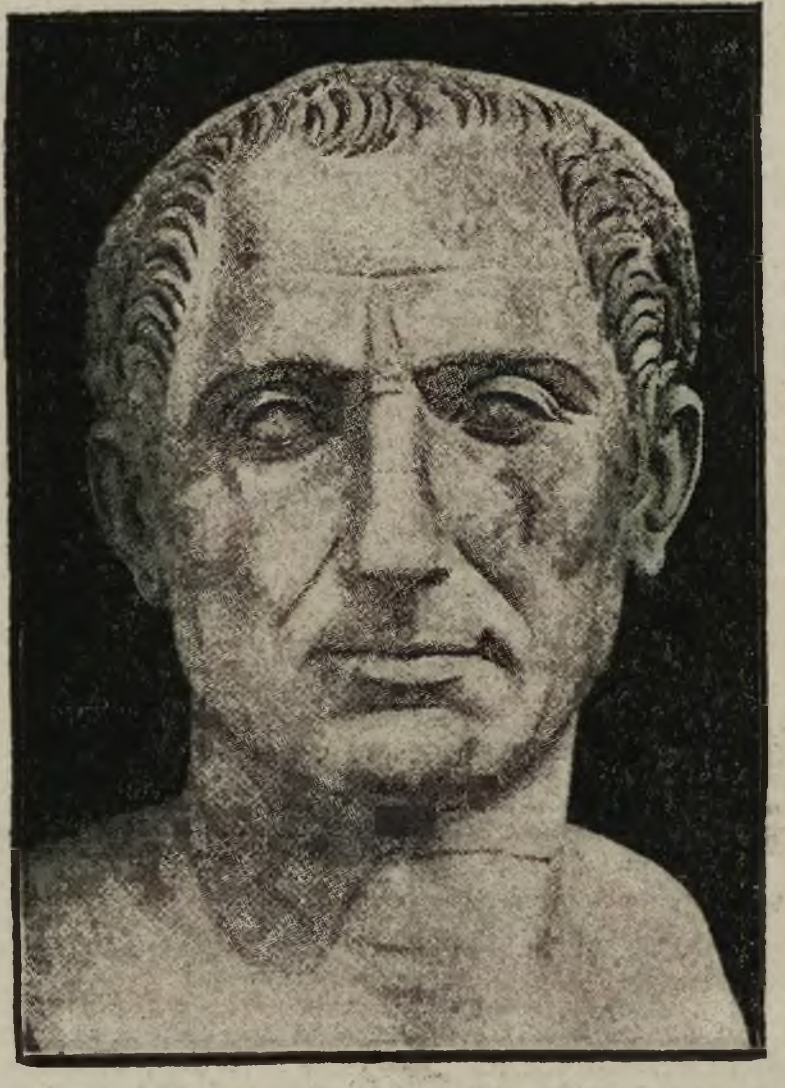
Oblicze Cezara, jego postać odtworzone są w powieści Jelusicha wiernie. Trudno było bawić się w historjozofję, dano historję uczciwą, bez łatwych i pociągających uzupełnień i dodatków — i to nadaje właściwy ton książce. Udramatyzowana historja.

„Juljusz Cezar“ jest historyczną powieścią biograficzną. W naszej epoce dyktatur, silnych i wielkich jednostek jest to typ modny i aktualny. Ludwig w Niemczech — Maurois we Francji ze swemi „Ariel ou la vie de Shelley“, i „Vie de Disraeli“ — we Francji i Strachey w Anglji, a u nas Wołoszynowski (Słowacki) i Parandowski (Król Życia — biografia Oskara Wild'a) dali podstawę nowoczesnej literaturze powieściowej w tym zakresie. Literatura ta odpowiada współczesnym. Jedną z rzeczy nowszych jest właśnie „Juljusz Cezar“ Jelusicha.

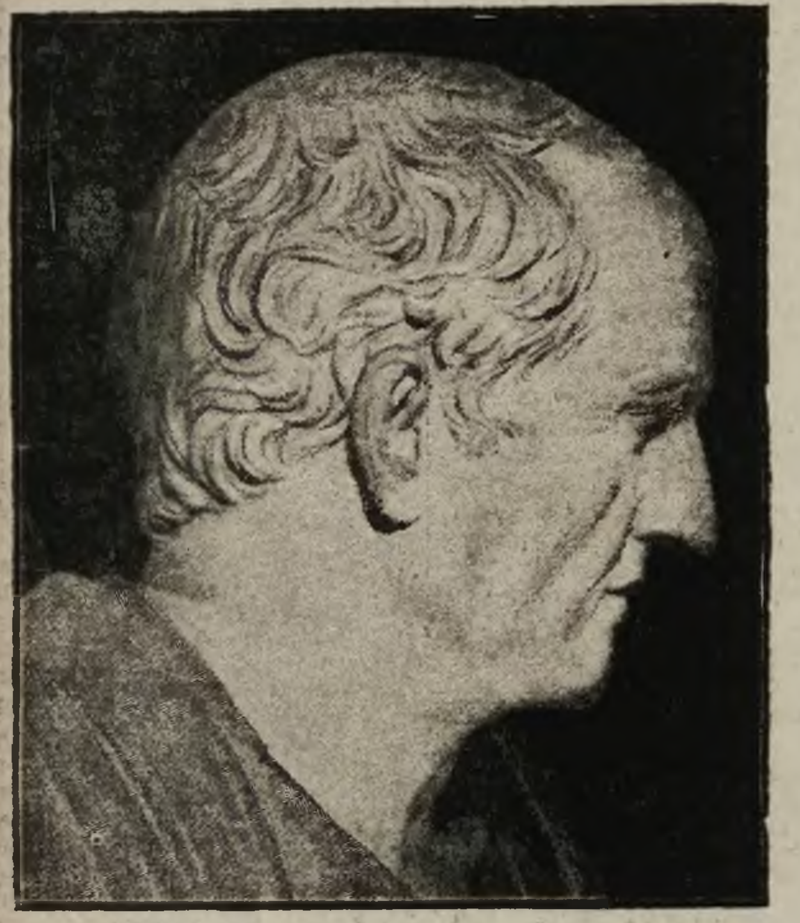
Artystycznie powieść Jelusicha przedstawia się dobrze. Razi może nieco wprowadzanie tła mistycznego, pewnych form alegorycznych, uzupełniających, rozcinających węzły akcji (końcowe rozdziały). Powieść jest zbliżona nieco w narracji do formy reportażu, oczywiście nie biorąc tego dosłownie. Szereg dobrze zgrupowanych obrazów, szkicowanych z położeniem nacisku na wizualność i plastykę. Język poważny, nieco stylizowany na prozie rzymskiej według Cycerona, nieco na Cezarze. Forma łatwa, miła. Bez dłużyzn, gramatycznych przeciążeń. Bogactwo językowe i barwność słowa. Szkoda, że tłumaczenie nie oddaje tego w pełni. Wogóle jest ono raczej słabe.

„Juljusz Cezar“ jest piękną książką. Książką, pisaną z dużą kulturą, dla ludzi, którzy mają artystyczne i kulturalne poczucie. Pisana jest z talentem, z dużą śmiałością. Winni ją czytać ludzie, którzy pragną, aby książka nie kończyła się wraz z ostatnią kartką. Ludzie, którzy szukają i żyją z pewną realną celowością. Książka Jelusicha mimo klęski i kapitulacji Cezara jest tylko pozornie pesymistyczna. Wnioski z niej wyciągnięte napewno nie będą pesymistyczne. Bo nie jest pesymistyczne i negatywne założenie podstawowe, że „przed człowiekiem, który nie da się onieśmielić papierowemi sztyletami tchórzliwych zdrajców, otwiera się możliwość zburzenia wszystkiego zgniłego i zbutwiałego, a zbudowania czegoś nowego i lepszego na gruncie oczyszczonym i umocnionym“. (str. 316).

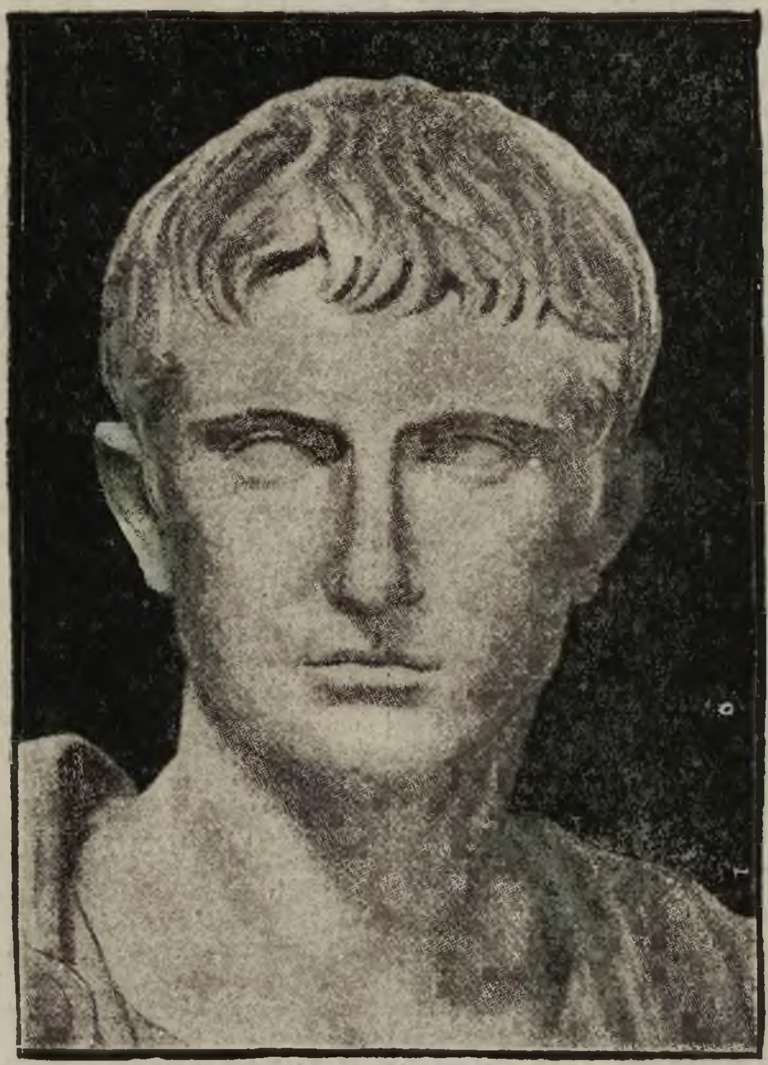
*) Mirko Jelusich. Juljusz Cezar. Przekład Z. Petersowej. Warszawa 1934. Wydawnictwo J. Przeworskiego, str. 415.



Caius Julius Caesar.



Marcus Tullius Cicero.



Octavianus Augustus.